



WIATRAK ZA MIASTEM,

ALBO

JAK TO POZORY MYŁĄ.

— Ach, jaki też to szczęśliwy jest ten Adam, jakbym ja chciał być na jego miejscu!

— Ba! niezłego ci się zachciało! każdyby chciał!

— Rozumie się, że każdyby chciał być na jego miejscu, a jednak, wiecie co, mnie się zdaje, że ten Adam wcale nie jest szczęśliwy: zawsze jakiś smutny, małowówny, zamyślony, wzdycha, nawet lzy raz widziałem w jego oczach, gdy sądził, że nikt na niego nie patrzy.

— Łzy? co znowu? taki bogaty!

— Ha, ja tam nie jestem bogaty, to i nie wiem, jak tam bogatym bywa, ale tak sobie myślę, że zamożność jest zawsze warunkiem dodatnim, a nie ujemnym w życiu, więc zwykle mniej wierzę w zgryzoty bogatych, niż ubogich i posądzam pierwszych o przesadę w wymaganiach.

— Zapewne, że muszą to być jakieś troski wymyślone, przesadne; ludzie ci, mając dużo, chcą mieć jeszcze więcej i ztąd pochodzą ich zgryzoty, gdy nadmiernych wymagań zaspokoić nie mogą.

Tak rozmawiało kilku uczniów, siedząc na ławce w ogrodzie publicznym, po serdecznym pożegnaniu z kolegą Adamem, i patrząc za nim, bo przez sztachety żelazne ogrodowe widać było, jak wyszedłszy z ogrodu i w poprzek przeszedłszy ulicę, wszedł do wspaniałego własnego pałacu, w którym rodzice jego mieszkali od pradziadów. Jak pałac ten był wspaniały i pię-



Winiak za miastem.

kny, tak i wszystkie inne warunki życia składały się na wygodne i przyjemne życie dla Adama, i on sam pilny uczeń, jeżeli czém, to tą wielką pilnością tylko wyróżniał się wśród kolegów; zresztą, prócz zacnego współubiegania się w naukach, nikt nigdy nie dostrzegłby w Adamie téj marnéj chęci wywyższania się z dostatków, które jest cechą pospolitego i niskiego umysłu. Poważano go też ogólnie, ale nie można powiedzieć, aby go kochano, ani lubiano nawet: jego obejście grzeczne, lecz zbyt powściągliwe, jak młodzieńczego chłopca, i usposobienie chmurne, prawie ponure, odstręczało młodych towarzyszy, lubiących szczerotę i wesołą swobodę, i dla tego lgnących do swawolników, nicponiów raczej, niż do poważnego towarzysza. Niejeden w koleżeńskiéj pogawędce mówił, patrząc z daleka na Adama, zajętego zawsze książką lub piórem, nawet w chwilach spoczynku, pomiędzy swawolącymi współuczniami:

— Jaka to szkoda, że ten Adam jest taki za bardzo „uczony”, gdyby on był choć troszeczkę swawolnikiem, tobym go daleko więcej kochał.

— A to i ja tak samo! — odpowiadał śmiejąc się drugi — nie śmiałem tego nikomu powiedzieć, ale doprawdy tak sobie myślę, że jeżeli Adam jest w swoim rodzaju doskonałością, to doskonałość nie nęci mię wcale.

— O dzieciuchy! niemądre dzieciuchy — dał się słyszeć za rozmawiającymi głos chrapliwy, ale brzmiący jednak jakimś ojcowskiem uczuciem, po którém to brzmieniu poznawszy starego, kochanego profesora, rozmawiający zerwali się, a on mówił dalej:

— Coś wam się nie podoba w tym zacnym Adamie i składacie to na jego zbytnią doskonałość; nie bajcież bredni, pamiętajcie, że zbyt doskonałym a nawet i doskonałym być nikt nie może. Adam nie jest doskonałym, pomimo, że wielkie ma przymioty, ale nie one to odstręcają was od niego, tylko brak swobodnego wesela, które jest i być powinno cechą młodości. Swój swego szuka, moje dzieci, i wy swawolnicy wolicie swawolników, niż poważnego nad wiek chłopca. Jest to bardzo naturalne i nikomu nie ubliża, chociaż zaręczam wam, że gdyby który z was raz przypadkiem zaprzyjaźnił się z tym ponurym Adamem, to przyjaźń ta byłaby wtedy trwalszą, niż zwykle wasze chłopięce związki, przy swawoli zawierane.

Tak mówił profesor; chłopcy mu szczerze wierzyli, ale mimo to Adam nie stał im się miłszym wcale. Ukończywszy szkoły, rozeszli się chłopcy po świecie i stracili się z oczu. W kilka lat później, ja sam, jeden z nich właśnie, zajmowałem już małą posiadkę w niewielkiém miasteczku dość nudném, zwłaszcza dla nowych przybyszów, nie mających nikogo znajomego. Czas wolny od obowiązkowych zatrudnień przepędzałem więc na odległych przechadzkach, bo lato było w całej pełni, niezbyt gorące wszakże, a okolice niepospolicie piękne. Szczególniej jedna miejscowość zachwycała mię dziwnym, tajemniczości jakiegoś pełnym urokiem. Był to duży, porządny wiatrak za miastem, przy nim chata i małe zapuszczone jezioro, wszystko otoczone zielenią, trochę drzew i krzaków, urozmaicone jakimś gankiem niby szlacheckim, przystawionym do chłopskiéj chaty, i płótkami, i kwiatkami w ogródku i dziwną czystością szyb w okienkach. Przy blasku księżycowym szczególnie, okolica ta z całą swą prostotą powinna była ślicznie się przedstawić mojemu zdaniem, bo przecież to ja niby i z olówkiem, i z pędzlem znam się trochę. Rozpatrzywszy się w tym krajobrazie, postanowiłem zatem

ujrzyć go przy świetle księżycy, i nazajutrz postanowienie w czyn wprowadziłem. Około dziesiątej wieczorem, siadłszy na dużym kamieniu nad brzegiem jeziora, sam powinszowałem sobie znawstwa, bo uroczy zakątek, jaki miałem przed sobą, wyglądał tak cudownie w księżycowém, srebrzystém świetle, jakby był naumyślnie na wzór dla malarzy stworzony. Byłem tak zajęty jego pięknością, że nawet o malarstwie zapomniałem i mimowoli powiedziałem sam do siebie, zapomniawszy się pod wrażeniem piękna i ciszy nocnej:

— Ach!... ależ tu chyba szczęście mieszka!...

— Mieszka w istocie! — odpowiedział tuż przy mnie głos czysty i dźwięczny, jakby srebrnego dzwonu. Obejrzałem się żywo: na obaloném, czy też tak krzywo przy ziemi wyrosłém drzewie, siedział młody, przystojny mężczyzna, tak wesoło uśmiechniętej twarzy i błyszczących łagodną radością oczu, że ani wątpiłem o prawdziwości słów jego. Tak, on to był zapewne szczęśliwym właścicielem tego rozkosznego ustronia. Zdjąłem kapelusz, przepaszając szczerze za mączenie namilszej chwili wieczornego odpoczynku pracowitemu gospodarzowi, nie wątpiłem bowiem, że mówię z młynarzem. I on zdjął grzecznie czapkę, patrząc mi w oczy ciekawie i z uśmiechem, a ja, ujrawszy go bez téj czapki młynarskiéj, przy jasnym świetle księżycy, dopiero spostrzegłem, że mam znajomego przed sobą. Ale kogo? Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy i gdzie widziałem tego człowieka, wyglądającego jak uosobienie szczęścia. On śmiał się szczerze, widząc moje nietajone zdziwienie, którego powód zgadywał wybornie:

— No i cóż, nie przypominasz mi siebie, panie Jasny?

— Ach! jesteście więc kolegami szkolnymi? — spytałem żywo, bo to przewisko „Jasny”, przypominające i przekrecone nazwisko moje i barwę włosów, trzymało się mnie przez wszystkie klasy, od wstępnej zacząwszy.

— Tak, mam ten zaszczyt! — odpowiedział, ściskając rękę, którą do niego wyciągnąłem.

— W takim razie tém bardziej dziwném jest dla mnie, że cię nie poznaję, bo wszystkich kolegów doskonale przecież pamiętam, a zresztą nie tak to dawne czasy jeszcze: czemuż więc ciebie nie poznaję? Czyżby to zabelone ubranie tak fizyognomią zmieniło? — pytałem.

— Może, a może jeszcze co innego — odpowiedział śmiejąc się, jak trzecioklasista w dobrym humorze — czekaj, spróbujemy, czy to nie to...

I tak mówiąc, spuścił głowę i oczy, namarszczył czoło, i usta zacisnął gwałtownie; twarz jego wyrazista przy podobném ściągnięciu rysów przybrała wyraz tak smutno ponury, że przykro było patrzeć na nią:

— Adam! — krzyknąłem, poznawszy go teraz od razu, i zamilkłem, nieledwie w kamień zamieniony z podziwu, znajdując Adama, pałacowego bogacza, właściciela a raczej dziedzica dóbr i kamienic... młynarzem! A gdy on w téjże chwili rozśmiał się znowu, zdumiałem się jeszcze bardziej, patrząc na tak śmiejącego się Adama „Ponurego Adama” jak go w szkołach nazywano.

— Adam, tutaj... a i cóż to się stało?... — mruknąłem zdziwiony i spostrzegłszy się na niewładze, przeprosiłem go szczerze za to pytanie.

— Ej, niema za co — odpowiedział wesoło. — Co się stało? najprostsza rzecz, bankructwo, ale nie podstępne, tylko rzeczywiste, które groziło memu ojcu oddawna, i ciążyło jak straszna z mora groźbą swą nademną przez całą młodość

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę Reginki.

moje, bo przypadkowo poznałem niebezpieczne położenie ojca, jeszcze gdy małym byłem dziecikiem. Ileż razy, wracając sam z klas lub ze świetnej zabawy do pałacu, drżący patrzyłem i słuchałem, czy nie usłyszę tam wrzawy, któraby mi zwiastowała spełnione nieszczęście, bo w liście, który przypadkiem dostał się do rąk moich i odkrył mi nieszczęsną tajemnicę, ojciec mój straszną wyrażał rozpacz i byłem pewny, że nie przeżyje swego upadku...

— O Boże! a my koledzy sądziliśmy cię szczęśliwym, i za złe mieliśmy ci „kaprysy bogaczy” jak nazywaliśmy przypuszczalne przyczyny twojego smutku! — zawołałem z żalem.

— Oj, nie życzę nieprzyjacielowi takich „kaprysów”, ale natychmiast rozśmiał się, wyjaśniając czolo:

— Ale to już minęło! — zawołał radośnie i w tejsze chwili, otwierając ramiona, schwycił wpadającego w nie pędem ślicznego chłopczyka, który przybiegł z domu:

— A dzisiaj jest tylko szczęście, które oto ci przedstawiam!... — dodał, zwracając ku mnie twarzyczkę dziecka.

— A więc jakże się to stało? teraz będę już śmiało pytał, widząc, że pytaniami nie robię ci przykrości — rzekłem szczerze ucieszony, pieszcząc malca, a ojciec odrzekł:

— Gdy wyrosłem, szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy; wyznałem ojcu, że znam nieszczęśliwy stan jego interesów ukrywany tylko z dnia na dzień pod wystawnym życiem, i uprosiłem, że pozwolił mi się w tych interesach rozpatrzyć, a potem, ja jednak, dla którego on cierpiał i pracował, chcąc mi koniecznie zostawić dostatki, póty go ściskałem i prosiłem, aż zgodził się wyrzec się zupełnie majątku, byle opłacić wszystkich wierzycieli, co jeszcze było możliwem, ale tylko w razie, gdybyśmy zostali żebrakami. I zostaliśmy nimi: ojczyzsko na moje prośby rzekł się wszystkiego. Wtedy, pożyczwszy od życzliwego mi wuja małą sumkę, zadzierżawiłem ten oto młyn, niegdyś mój własny, a raczej mego ojca, wraz z całą tą miejscowością, ulubioną mi zawsze, dla tego uroku, którym się i ty zachwycasz, a także i dla tego, że graniczył z gruntem pewnych dzierżawców, z których córką Maniusią, gdy ona jeszcze za rączkę z nauczycielką chodziła, a ja z korepetytorem, wyprawialiśmy sobie podwieczorki tu koło tego młyna. Otóż zostałem młynarzem, wiedzie mi się dobrze i Maniusi też, bo zapomniałem powiedzieć, że się z nią ożeniłem; z mego własnego dorobku kupiłem młyn i tę małą miejscowość, prawda, że na spłatę, i dotąd jeszcze jestem dłużny, ale przy pracy wypłacę się niezadługo pocciwym ludziom, którzy na razie potrzebując trochę grosza koniecznie, przystali wziąć to, co dać im mogłem. Ojciec zdrów i wesół, jak nigdy nie był, gdy w pałacu mieszkał, żyje z nami także w tej chacie: Oto masz odpowiedź na twoje pytanie. „Co się stało?” A teraz, jeśli łaska, pójdźmy po koleżeńsku na wieczerzę, bo Marynia po to chłopca przysłała po mnie aż tu, gdzie zwykle spoczywam po dzienniej pracy, jak to zapewne odgadłeś.

— O jakże pozory mylą — mówiłem, idąc za nim do jego domu — my wówczas sądziliśmy cię najszczęśliwszym z ludzi, a potem, kto o waszym upadku posłyszał, sądził pewno, że staliście się najnieszczęśliwszymi pod słońcem.

— Tak, tak to pozory mylą — odpowiedział śmiejąc się Adam — wszystko zawodzi, tylko uczciwa praca daje wesołość i prawdziwe zadowolenie.

Michał Krzemień.

Poza zczerniałemi i nadpsutemi przez czas sztachetami stał mały dworek, gontami kryty, z gankiem na słupach, w którym stały dwie ławki po bokach. Po prawej stronie mieściły się zabudowania gospodarskie, wszystko to już stare, w niektórych miejscach popodpierane, słomą kryte. Zabudowań tych nie było wiele: stodoła, mały szpichlerzyk, stajnia i obora, a bliżej dworku chlewy i kurniki, wszystko to w gromadce, jedno przy drugim; budując, widocznie miano na celu, aby jak najmniej zabrać miejsca.

Po lewej stronie i poza dworkiem ciągnął się dosyć duży ogród, w którym między drzewami uprawiane były zagony z warzywem. Przed domkiem maleńki trawnik, obłożony kamieniami, świeżo widać wapnem pobielonemi, wśrodku trawnika rosła młoda lipa, starannie otoczona palikami, przepłatanemi wikliną, aby ją uchronić od niepotrzebnych może odwiedzin blizkich sąsiadów, mieszkających w chlewikach. Z sąsiadami tymi musiano widocznie częste staczać walki, czego dowodem był biedny trawnik, gołą ziemią widniejący nie w jednem miejscu, co jednak było naprawione i zagładzone, chociaż troskliwa ta ręka zieleni na razie dać nie mogła, aby zupełnie zatrzeć ślady zniszczenia. Pod niskimi okienkami rosły krzaki róż, obecnie mnóstwem kwiatów okryte, niżej rabatka obsiana rezedą i innymi drobnymi kwiatkami, wszystko to ogrodzone, oplecione, od dołu szczerlnie poutykane kamieniami, co dawało do myślenia, iż barykada ta wzniesioną była dla zabezpieczenia się od kaczek, bo wiadomo dobrze, że te niecnoty korzystać lubią z najmniejszego otworu, aby się dostać tam właśnie, gdzie ich najmniej pragną.

Ale wejdźmy do dworku: właśnie po prawej stronie drzwi otwarte, i widzieć można mały pokój, świeżo wybielony. Pod jedną ścianą stoi łóżko, skromnie lecz czysto zaślane, przed niem skóra wilcza, w głowach na ścianie obraz Chrystusa w Ogrójcu, nad łóżkiem dabeltówka i różne przybory myśliwskie. Pod oknem prosty stolik, lśniący białością, parę drewnianych stołków z poręczami, czarna nieduża szafka w rogu, kufer czerwono malowany, a za pstrym kaflany piec z jednej strony leży poduszka słomą wypchana, widocznie posłanie jakiegoś faworyta domowego, a po drugiej parę kijów sękatych, toperek i kilka narzędzi ogrodniczych.

W tej chwili przy stoliku stoi dziewczynka, mogąca mieć lat czternaście, ustawia na nim bukiet z róż świeżo zerwanych i nuci sobie półgłosem jakąś piosenkę. Sukienka na niej ciemna perkalowa, różowy fartuszek, biała czysta fryzka stanowią całe ubranie. Krótko obcięte jasno blond włosy, zaczesane w tył głowy, przewiązane jakąś czarną wstążeczką, odsłaniają drobną, białą twarzyczkę o delikatnych rysach i dużych, ciemnych oczach. Dziewczę to szczupłe i wątłe ma jednak wzrost wybujały nad wiek swój, co daje mu pozór dorosłej panny, z czego jest niewypowiedzianie dumne między rodzeństwem.

Nareszcie ostatnią już poprawiła gałązkę w bukiescie, odstepuje parę kroków, przypatrując się z zadowoleniem, robi jeszcze szczegółowy przegląd skromnego pokoju, aby wszystko było na swoim miejscu, przestaje nucić piosenkę i spojrzawszy w okno, wypowiada myśl swoją dość głośno:

— Ach, Boże, jak też można tak długo marudzić w tej szkaradnej podróży, a tu jeszcze takie chmury na niebie, z pewnością będzie burza, wujaszek zmknie i jeszcze zaziębić się może.

— Tereniu! — dał się słyszeć głos młody i dźwięczny, i po chwili wbiegła do pokoju druga dziewczynka, starsza od tej widocznie, choć znacznie niższa.

— Porządkuję pokój dla wujaszka — odpowiedziała Terenia, poprawiając po raz setny może skórzaną poduszkę na łóżku — chciałabym, aby wszystko było na swoim miejscu.

Przybyła obejrzała się wokoło, pochyliła się nad bukie-

tem, przyglądając się kwiatom, a potem uśmiechnęła się i rzekła:

— Zabawna ty jesteś, Tereniu, stawiasz bukiet róż, jakby na przybycie jakiejś panienki, ręczę ci, że wujaszek ani spojrzę na twoje kwiaty.

— Musi spojrzeć — powiedziała dziewczynka, pewnym niby głosem, a jednak zarumieniona buzia świadczyła o jakimś niepokoju wewnętrznym.

— Tymczasem chodź do mamy, która mnie przysłała po ciebie, roboty mamy bardzo dużo, a coprawda siostrzyczka lubi się od niej uchylać.

— O! tylko nie gniewaj się na mnie, Hanulko — zawołała dziewczynka, zarzucając ręce na szyję starszej siostry — cóż winna jestem, że tak igły nie lubię, och! jak nie lubię — dodała, wstrząsając się cała.

— A jednak musisz ją polubić, Tereniu, musisz koniecznie zabrać się szczerze do pracy — rzekła tamta z powagą starszej siostry. — Wiesz, jak to mamę martwi, że lubisz tyle czasu spędzać na niczém.

— Na niczém? mój Boże — rzekła Terenia, kiwając głową — to się nazywa na niczém! Doglądam kwiatów, pilnuję trawnika od szkody, pamiętam o gołębiach, pokój wujaszka porządkuję, aby go zastał czystym po powrocie do nas, pomalowałam nawet wapnem kamienie, przy pomocy Janka wprawdzie, i to wszystko mama i kochane siostrzyczki uważają za jedno nic.

— Dodaj jeszcze — rzekła Hanka z uśmiechem — że całemi godzinami siedzisz w jakim krzaku z książką, i nawet sprytna nasza Ewcia znaleźć cię nie może. No, chodźmy do mamy, bo przyszedł do ciebie, szczęśliwym trafem znalazłam wieczną zbugę, a jednak nie wracam.

— Chodźmy — odrzekła Terenia z westchnieniem, i obie dziewczynki opuściły pokój, zamknawszy go na klucz, który blondynka schowała do kieszeni. Hanka szła pierwsza, otworzyła drzwi po drugiej stronie sionki, i puszczając przed sobą Terenię, rzekła z wesołym uśmiechem:

— Mam zgubę, mateczko, Terenia znów w świeży bukiet przystroiła pokój wujaszka i porządkowała go, chociaż od dawna jest już sprzątnięty i uporządkowany.

Pokój, do którego weszły dziewczynki, był duży i jasny, i na pierwszy rzut oka wywierał miłe wrażenie, gdyż odznaczał się taką świeżością i porządkiem, widniejącym z najmniejszego kącika, że wchodzący mimowolnie musiał szepnąć sobie w duszy: „jak tu swobodnie i wesoło”. Ściany białe, podłoga czysta bez najmniejszej plamki, kilka doniczek kwitnących kwiatów na oknach, których pomyte szyby przepuszczwały smugi światła do wnętrza pokoiku. Umeblowanie tu było skromne, dwie szafy, komoda, duży stół dębowy na środku, kilka wyplatanych krzeseł, pod ścianą kanapa, spleśniałym już trochę, ciemno-zielonym adamaszkiem kryta, pod jednem oknem stolik nieduży, zarzucony robotą, obok fotel wygodny, przy którym stał mały stołeczek pod nogi, po drugiej stronie stolika krzesło wyściełane. Nad komodą lustro w czarnych ramach, nad kanapą portret Mickiewicza, po bokach Kościuszko i Sobieski.

Z tego pokoju były drzwi, prowadzące do drugiego, również dużego, który zastawiony był łózkami i łóžeczkami. Przy każdym łóżku stał prosty stółek i mała ławeczka, nad każdym wisiał obraz Matki Boskiej lub jakiego świętego. W rogu stała duża umywalnia, konewka blaszana z wodą, i także kubełeczek.

Obejrzyjmy już całe mieszkanie i zapoznajmy się od razu ze wszystkimi mieszkańcami schludnego dworku.

Z sypialni tej na lewo były drzwi do małego pokoiku, tu stało duże łóżko za kotarą, zasłane pościelą wysoko, przy łóżku mały stoliczek, na nim żelazny krzyż Chrystusa Pana, parę książek grubych i mocno zniszczonych, na krzyżu różaniec z dużych paciorków, na książkach okulary i srebrna tabakierka. Nad łóżkiem piękny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Pod oknem stoliczek, na nim w białym kubeczku świeży bukiet z róż i rezedy i koszyczek z zaczętą pończoszką kolorową. Przy stoliczku stał także fotel, tylko więcej zni-

szczony, niż w pierwszym pokoju i wyściełana ławeczka pod nogi. Dalej stała szafa, kufer duży, umywalnia, wszystko czyste, bez najmniejszego kurzu i zabrudzenia. Z tego pokoiku nie było wyjścia, za to z dużej sypialni były jeszcze jedne drzwi, któremi wchodziło się do pokoju gospodarskiego. Znajdowały się tu same szafy i kufry, duży stół pod oknem i za parawanem łóžeczko skromnie zasłane. Z tego pokoju jedne drzwi prowadziły do spiżarni, drugie do kuchni. Wszędzie tu było ubożuchno i skromnie, ale wszędzie widać było ład i porządek.

W dworku tym mieszkała pani Wolska, wdowa od lat czterech, z matką i sześciorgiem dzieci. Najstarsza córka Hanna miała lat piętnaście skończonych, nie odznaczała się urodą wielką, ale czarne jej oczy miały taki wyraz swobodny i wesoły, na czerwonych jak koral ustach tak często jawił się uśmiech figlarny, że dziewczę to miłe na każdym wywierało wrażenie. Hanka była małego wzrostu, figurkę jednak miała zgrabną, choć niezbyt szczupłą. Druga z kolei Terenia, którą widzieliśmy już porządkującą pokój dla oczekiwanego wujaszka. Trzecim był Janek, miał lat dwanaście, jasne kędzierzawe włosy i duże, rozumne niebieskie oczy. Dziewięcioletnia Jadwisia, istny portret Tereni, siedmioletnia, żywa i rozpieszczona przez wszystkich Ewcia i pięcioletni Kazio, faworyt babuni, składali rodzinę kochającą się i zgodną.

(d. c. n.)

ODLOT JASKÓŁEK.

Jaskółeczki miłe, drogie,
Goście wiejskich chat,
Już was znowu zimna srogie
Pędzą od nas w świat.

Wy nie macie wytrwałości
Ziębnać z nami wraz,
Gdy nam dobrze, mamy gości,
W smutkach, rzucą nas.

Więc choć śliczne, zgrabne, żwawe,
I przemądre tak,
I z podróży macie sławę,
Jak nie każdy ptak,

Ja nie kocham was, latawce!...
Lepszy wróbel zuch,
Co mi skacze na ślizgawce,
Szary, wierny druh.

M—a.

DOLA DOLY.

Opowiedziana przez Wielisława.

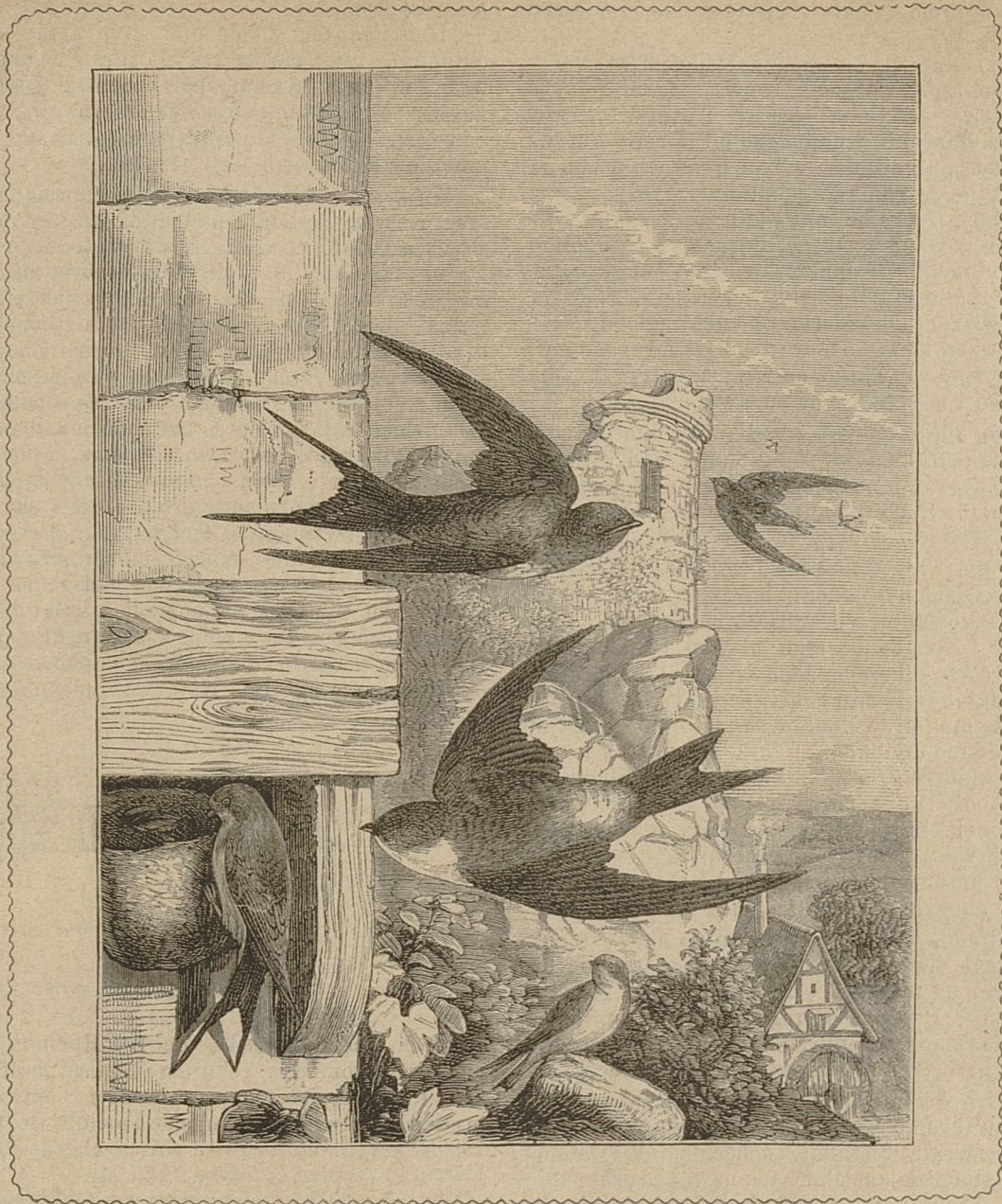
(Dokończenie).

Odtąd byłam przedmiotem uwagi całej armii, znali mnie wszyscy, pieścili, gwałkali, a generał tylko się uśmiechał, mówiąc: To właśnie ta Doly, co mnie i losy bitwy ocalała. Ona będzie miała u mnie chleb taskawy do śmierci.

I dopóki żył, dotrzymał swego słowa. Chociaż dla rany nie mógł już siadać na mnie, miałam wszelkie wygody, zaledwo czasami wolno było okulbaczyć mnie dla którego z jego wnuków. Musieliśmy więc z generałem wielką wygrać bitwę.

Ale pewnego dnia usłyszałam smutne dźwięki muzyki żałobnej, ubrano mnie w czarne opony z białemi galonami, i wraz z czterema innymi wierzchowcami, masztalercze w żalobę przebrani prowadzili mnie za karawanem, na którym, odrazu to poznałam, wieziono zwłoki mego pana, który z ran poniesionych umarł.

Smutek i boleść ścisła moje serce, jakbym przeczuwała, że już nigdy podobnego mu opiekuna nie znajdę; zmarły je-



Odlot jaskółek (str. 316).

nerał przez cały pobyt mój u niego był tyle dla mnie dobrym, a nigdy nie wyrządził mi najmniejszej przykrości. To też gdy huk armat zwiastował pogrzebanie zwłok jego, z smutnie zwieszoną głową grzebałam kopytem ziemię, jakby chcąc mu rzucić życzliwą jej garstkę.

I niedługo miały się sprawdzić moje złowrogie przecucia co do zmiany mojego losu; spadkobierca mego generała, nie zamyślając widać staczać innych bitew jak te, które prowadził przy zielonym gry stoliku, kiedyś potrzebując pieniędzy kazał sprzedać całą stajnię. Znowu więc różni obrzydli handlarze zaczęli zaglądać mi w zęby, ciągnąć za język, wyprowadzono nas wszystkie konie, powiązano do baryery i coraz tylko słycać było monotonny a przeraźliwy głos woźnego: „poraz pierwszy, drugi, trzeci”, zakończone stuknięciem młotka, a po nim coraz to inny z przyjaciół i towarzyszy moich, odprowadzany przez nowego właściciela, szedł w różne światła strony, aby nas nigdy więcej nie obaczyć. Niedługo kolej przyszła na mnie, stanęłam przed stolikiem prowadzącego sprzedaż reagenta, i zaczęłam się wpatrywać w tych, co mnie otaczali. Jakiś gruby rzeźnik czy piekarz, z drugim podobnym sobie zapewne garbarzem, bo czuć od niego było korę dębową, zawziętą o mnie staczali walkę. Już miałam się do

jednego z nich dostać, gdy znajomy mi pułkownik konnicy, otoczony oficerami, rozepchnął tłumy tych handlarzy, wołając do swoich: „A wszak to nasza Doly, biedaczka, i ona idzie na sprzedaż!” i póty podbijał moją cenę, aż mu przysądzoną zostałam; tegoż wieczora żołnierze odprowadzili mnie do pułkowej stajni. Nie było mi tu tak dobrze jak u generała, stajnia była napchana rozmaitym hołotą konską, w obyczajach szorstką i niewygodną, obchodzenie się ze mną grubijańskie, obrok nie tak starannie dobierany, hałas wprowadzanych i wyprowadzanych po bruku koni, przeraźliwe wrzaski trąbki, powtarzające się co chwila, jako sygnały, rozstrajały moje już i tak przez wojnę osłabione nerwy.

Czasami tylko przypominały mi się dawne, dobre czasy. Będąc najpiękniejszą z całego pułku, stawałam na prawém skrzydle frontem do defilu, chociażby i przed monarchą panującym, znowu więc miałam sposobność pokazać, czém jestem i co umiem. Lecz właśnie w czasie takiej parady, ból mój w łopatce, który zyskałam na wojnie, na który mało zważałam, powód wygod jeneralskiej stajni, napadł mnie gwałtownie tak, że zaczęłam kuleć. Odprowadzono mnie na bok, rozkulbaczono, i oddano do lazaretu, tam nasz chirurg osądził mnie za zupełnie do służby wojskowej niezdatną.

Ach! czemuż w tym lazarecie, jak tyle innych co tam były, nie zakończyłam życia, zamiast cierpieć tyle, ile jeszcze cierpieć miałam!

Znowu więc znalazłam się na placu sprzedaży, przeciągły, jakby wiecznie jeden głos woźnego, znowu rozganiał nas po wszystkich częściach świata, najlepszych i najdawniejszych towarzyszy. Widziałam jak znajomego mi dobrze kucyka, na którym jeździł syn pułkownika, w moich oczach do biedki swojej zaprzął jakiś gałganiarz. Smutno wszyscy z łbami zwieszonymi staliśmy, czekając nowego losu, czasami tylko który z nas lekkim rżeniem w stronę, gdzie stali nasi żołnierze, jakby wołał na nich, nie opuszczajcie nas! nas, cośiny was tyle ukochali! tyle przygód dzielili razem! Zdarzało się, że niejeden stary wiarus jak dziecko płakał, żegnając się ze swoim starym towarzyszem, całował go po chrapach, popieścił, otarł z oczu łzy, co mu aż na wąsy kapąły, ale zdjął uździenicę skarbową i nowonabywcy oddawał.

Tak się i ze mną stało, odrazu wpadłam w oko jakiemuś olbrzymiego wzrostu furmanowi, o ogromnej rudą brodzie i pęty cenę za mnie podbijał, aż mógł zbieraniną sznurków okiełznać i odprowadzić do domu. Tu mnie opadła cała zgraja dzieciaków jego, obsiadając od szyi po ogon, ciesząc się, jakby tryumfując, że mogą na tak pięknej klaczy jeździć.

Odtąd los mój codziennie a coraz bardziej się pogorszał, nowy mój pan nie żałował mi wprawdzie obroku, ale i pracy nad siły wymagał. Zresztą i z tego obroku nie dochodziło mnie wszystko, bo część takowego żona furmana, skąpica, dla gęsi swoich odkradała, część rozrywały ordynaryjne, brzydkie chabety, co wraz ze mną przy żłobie stały, którym delikatnie chowana opędzić się nie umiała.

Chudłam więc widocznie, a nic mi w znoju nie folgowano. Trzeba było od soboty na wieczór, aż do zachodu słońca w piątek, nieustannie ciągnąć wóz ładowny, a i w święta nie miałam odpoczynku całego, bo znowu wyprowadzoną na łąkę obsiadały nieznośne dzieciaki, i dźwigać kazały dla zabawy, co bardzo cieszyło ich matkę i jej przyjaciółki.

Tymczasem ból mój, dla którego usunięto mnie z szeregow pułku, wzrastał się codzień, nikt na to naturalnie nie zważał, mianoż czas na to, aby się ze mną pieścić, pracując i harując tak ciężko. Przyszło do tego, że wysiloną, bólem opanowaną, na wiosenne roztopy padłam jak nieżywa w jakiś kałuży na zły szosie, z myślą nie powstania więcej.

Ale nie tu miał być koniec mój złej doli; leżącą w błocie obstało ze sześciu furmanów, towarzyszy mego pana, i zaczęło się niemilosiernie biczami, zachęcając do wstania. Z początku dosyć stoicznie znosiłam ten nawał razów, aż dopiero gdy mój rudobrody wziął się do drąga i nim mnie tłuc po bokach zaczął, widząc, że zamierza i po łbie pałać, instykt zachowawczy wy dobył ze mnie ostatki siły, zerwałam się na nogi, i pośród szyderstw gawiedzi, na co to przyszło pięknej Doly! cała drżąca od febry, zwalana błotem, zaczęłam ciągnąć dalej.

Była to jednak ostatnia moja podróż w bryce furmana, pan mój wkrótce zrozumiał, iż mu do niczego służyć nie mogę sprzedał mnie przeto piaskarzowi za kilka rubli.

Ten nowy mój właściciel był to człowiek niezły, ale mizeraczysko wielkie. Owies był drogi, co więc mną zarobił, to przejadł z liczną rodziną swoją, którą chociażby samemi kartoflami żywić było kosztem niemałym. Mnie zatem dawał czasami tylko garść obroku, najczęściej pasł pod cudzemi parkanami trawą albo garściami siana, kradzionemi z przejeżdżających wozów. Rzadko jednak wymagał co nad moje siły, zawsze szedł wolnym krokiem obok fury piasku, którą wycieńczona dźwigałam, nieraz i ramieniem swoim dopomagał do przebycia miejsc drogi cięższych, byłby zupełnie dobrym dla mnie, gdyby nie bieda, co go srodze prześladowała. Na nieszczęście moje, głód, niewygody, brak stajni, bo w tej w której mnie stawiano, woda przez dach przeciekała, nie czyszczenie tyle zachwalanej dawniej mlecznej sierści mojej, sprowadziło na mnie niewyleczalną chorobę skóry.

Dojrawszy tego policyant dawny, którego wszystko obchodziło, zaraz mówił, słyszałem, mojemu poczciwemu pia-

skarzowi, że nie zważając na to, ile go kosztuje, odda mnie do czyszcicieli.

Unikając tego, mój pan wołał mnie sprzedać za rubla chłopu, co otwarcie mówił, że mięso moje sprzeda bogatemu paniczowi na pożywienie jego chartów. Żegna więc ten świat, marząc o lepszym, sprawiedliwszym od tego, nasza Doly, z prośbą, aby ci, co mogą zwierzętom ulgę w ich losie przynieść, nie zapomnieli tego zwierzęcia.

Tu koniec autobiografii. Jakkolwiek wiadomo czytelnikom naszym, że konie pamiętników pisać nie mogą, wierny wszakże podany tu obrazek z życia jednego z nich powinien by im przywieść na myśl, że zwierzęta także czują i cierpią, nie godzi się zatem cierpień ich powiększać, dręcząc je bez miłosierdzia. Nie zapominajmy, że zwierzę każde, ptaszyna, czy kot jej nieprzyjaciół, jest tworem Bożym i ma prawo do łaski Stwórcy, który z wysoka niechętnym okiem patrzy na tych, co ciemną słańszego, dla tego, że mają siłę po temu. Nie należy sądzić, że jest nad nami jakiegobądź prawo, upowładniające do tego, bo prawo podobne nie byłoby zgodne z zakonem Bożym. Wolno nam odbierać życie tworem niższym od nas dla zaspokojenia głodu i innych potrzeb naszych, wolno tępić zwierzęta szkodliwe; lecz na tym powinniśmy poprzestać. Niewolno jednak nikomu pastwić się nad słabszemi istotami, być oprawcą bez potrzeby, dla przyjemności. Tęj zbrodni nie godzi się popełniać człowiekowi ani na chwilę, gdyż czyniąc tak, jednocześnie utracą prawo do noszenia znamienia godności ludzkiej, co stanowi zaszczyt najwyższy człowieka, którego Bóg mianował opiekunem słabszych stworzeń.

LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

Dwie księżne, matka Zofia i Elżbieta synowa słuchały, jak nieprzytomne, wyroku tego i dalszych objaśnień i zastrzeżeń, dowodzących jego prawności i prawomocności. Ale prędko zrozumiały, że przemoc usiłuje wydrzeć tron książęcy Hermanowi II-mu i przeto pod nieobecność obrońców nie waha się w wyborze środków i kłamstw.

— Co mówisz o występkach, to kłamstwo! — zawołała księżna Zofia. — Ja wychowałam Elżbietę, synową moję i przysięgam, że jedynym występkiem w jej życiu jest nadmiar cnoty chrześcijańskiej!

— Nie dbam o ziemskie korony, państwa i zamki — odpowie księżna Elżbieta — ale krokiem jednym nie ustąpię dobrowolnie z zamku tego, gdyż byłoby to naruszeniem praw panującego księcia, landgrafa Hermana II, syna Ludwika, których straż mnie poruczył książę Ludwik turyngski, mój dostojny małżonek!

— W takim razie będziesz zeń wyprowadzona siłą, kobieto! — rzekł wzruszając ramionami Chryпка, który dowodził tą wyprawą na Wartburg; spojrzawszy na okół, spostrzegł dzieci czworo, napróżno usiłujących dostać się do matki przez szereg żołnierzy i szepnął coś najbliższemu na ucho.

— Gdzie są moi synowie! gdzie Konrad dobry i Henryk, którego imienia nadużywacie, wy, źli doradcy! Ja chcę się widzieć z moimi synami, ja synowej mojej nie opuszczę, niechaj przyjdą tu moi synowie! — wołała księżna Zofia, schwywszy Elżbietę w objęcia. Ale gdy Chryпка wyciągnął ku niej chude ręce, księżna cofnęła się mimowoli ze wstrętu, aby tych rąk dotknięcia uniknąć, a wtém krzyk dziecięcy dał się słyszeć, obie księżne zadrżały, spoglądając za głosem: żołnierz o zbójcejskiej powierzchowności unosił dwoje dzieci, wydarłszy je z rąk Guty, drugi włócił dwoje starszych; Elżbieta skoczyła za dziećmi, zapominając o wszystkiem zresztą. Do-

goniła porywców już za bramami Wartburga i chwyciła w ramiona dzieci, które składano na ziemię, tejsze chwili usłyszała głuchy łoskot za sobą. Spojrzała, to bramę Wartburga zamknięto, straż stanęła zewnątrz i odpędzała ją, grożąc dzieciom, gdy zbliżyć się chciała do bram wraz z niemi. Po chwili część straży odłączyła się i zaczęła szeregiem zstępować z góry, popychając księżną Elżbietę i jej dzieci przed sobą. Ona, trzymając najmłodsze na rękach, nie chciała ustąpić ani krokiem od dziedzictwa syna swego, lecz gdy ręce dobranych ku temu żołnierzy podnosiły się na dzieci, one ustępowały płacząc i matka szła za niemi. Tak gnano królewską rodzinę z góry zamkowej. Zmierzało się i mrozić się wzmagali; dzieci płakały i matka płakała, patrząc na nie drżące i zsiniałe. Trzeba było koniecznie przytułku, aby nie zmarły:

— Oto jest wóz, siadaj nań, kobieto, wraz z dziećmi a zawiozę was do przeznaczonego wam schronienia — rzekł Chrypka, stojący na czele odpędzających Elżbietę żołnierzy. Księżna odwróciła się od niego i zaczęła iść ku Eisenach: przystać dobrowolnie na wolę wrogów, było to uznawaniem ch władzy a uwłaczaniem prawom Hermana II-go. Gdy królewska córka weszła do miasta z czworgiem płaczących dzieci, prosząc o przytułek, wszystkie domy były szczególnie zamknięte i ulice puste, ludzie skryli się pod wrażeniem strachu i zdumienia.

— Czyliżby śmiano popełniać taką rzecz straszną, wypęłać z własnego zamku księżną i książęce dzieci, gdyby nie miano prawa i słuszości za sobą?... — szeptał lud, odurzony zachwalstwem, a któremu myśl tę podszeptęli wysłańcy Chrypki. Strach przed pomstą i karą obozwładniał nawet najmilszych: Księżna Elżbieta turyngska z gromadką ziętych dzieci szła coraz wolniej pustymi ulicami, napróżno łęcząc przytułku.

IX.

Schronienie książęcej rodziny.

— A cóż tam u licha! — mruknął Chrypka, wracający ku Wartburgowi, po rozstawieniu straży na okół, aby wygnanym zbliżyć się nie dawała; i schylił się Chrypka, aby przy zapadającym zmroku bliżej obejrzeć stworzenie jakiegoś, a nóg mu się płaczące.

— Chrypka, słuchajno, ty łotrze! — dyszał głos jakiś.

— A, to ty, Phil, płaczesz mi się pod nogami? a cóż ty tutaj robisz? Po co tu przylazłeś, zamiast pilnować psów księcia Konrada i landgraфа Henryka, aby w porę jeść dotawali?

— Chrypka, ty łotrze! jakie to ty mi dukaty dałeś za wyzkanie dokumentu? tego, coście to wy landgrafowstwo zań lostali?

— Albo co?

— Ty nie wiesz co? ty nie wiesz, żeś mi dał dukaty, za które kubka piwa w żadnej gospodzie dać mi nie chcą?

Phil, mówiąc te słowa, był tak okrutnie rozszłoszczony, że Chrypka, spojrzawszy nań z góry, rozśmiał się na całe gardło, śmiał się, śmiał bez końca, w miarę jak ten śmiech powiększał gniew i rozpacz Phila.

— A i cóżes ty myślał, Szkaradny Potworze — rzekł wreszcie, wymiawszy się. — Czyliż sądziłeś, że ci dam prawdziwe dukaty złote? sto dukatów? Czy podobna, abys był tak bardzo głupi, albo mnie tak głupim mniemał? Zastanów się, na cóżby tobie zdały się prawdziwe dukaty? Cobyś ty z niemi robił? bo na kubek piwa starczą ci przecież zasługi twoje, jako karmiciela psów landgrafowskich.

To powiedziawszy, Chrypka wstrząsnął mocno prawą nogą i pozbywszy się w ten sposób uczepionego do niej Phila, poszedł szerokim krokiem dalej pod górę, zwracając pilną uwagę po drodze na porozstawiane około Wartburga stráže, aby przystępu sierotom do domu ojców bronili.

— Lepiej wyjdzie stokroć człowiek, wdając się z psami, niż z tobą! ty rozbójnicze narzędzie! — krzyczał skrzeczącym,

ale donośnym głosem Phil, gramoląc się z ciężkim trudem z głębokiego rowu, w który potoczył się, jak kula.

Wstawszy, poczuł dotkliwy ból, chwycił się za głowę, poczuł na niej ciepło i wilgoć, domyślił się, że to krew; strząśnięty z siłą z nogi Chrypki, upadając daleko, musiał uderzyć głową o kamień i zranił się.

— Otóż masz babo zgrzyotę, krew popłami moję piękną nową suknię, którą dopiero co sprawił mi książę Henryk, ku uświetnienia swego landgrafowskiego dworu! — tak mrucał sam do siebie Phil i szedł jak mógł najspieszniej do Eisenach, aby poszukać rady na swoją zgrzyotę i ochronić się przed mrozem, zwiększającym się wraz z ciemnością.

Klął przytém i złorzeczył głośno niegodziwemu Chrypce. Tak dążąc przez miasto milczące, z pozamykanymi drzwiami i oknami zaporami, w obec zgrozy tego, co się stało w Wartburgu, Phil spotkał Elżbietę ze zziębniętymi dziećmi, idącą przez tę okolice, której mieszkańców przez całe swe życie żywiła, odziewała i pielęgnowała w odrażających chorobach. Niosła Gertrudę na ręce, Zosię prowadziła za rękę, a dwoje starszych szło przed nią.

— Aha! a co, landgrafówno Zofio, Zosiu, czy dobrze ci teraz? a wiesz, kto ci tak dogodził? to Szkaradna Potwora, Phil! Tak, to Phil, Szkaradna Potwora wyszukał stary dokument, na mocy którego wypędzono cię z twego domu!

Tak skrzeczał po cichu sam do siebie Phil, idąc ostrożnie w cieniu domostw za książęcami sierotami, aby nie być spostrzeżonym. Patrzył, aby nasycić się widokiem swęj zemsty, ale tymczasem, gdy patrzył na maleńką Zosię, poczuł gorące krople, spadające mu z oczu na twarz.

— Cóż to znowu, przecież w oczy nie zraniłem się, a krew mi z nich spływa — pomyślał i postanowił przejść tuż za sierocą gromadką, aby po drugiej stronie ulicy, u znajomych swych, opatrzyć zranienie.

Jakkolwiek przechodził ostrożnie, przecież Zosia spostrzegła go, a że księżyc już świecił jasno, więc z blizka spojrzawszy, zawołała po dziecinnemu:

— Matko, oto Phil idzie w nowęj ładnej sukni! a na sukni krew! matko, Phil jest ranny, trzeba go opatrzyć.

Mała landgrafówna, widząc matkę przez całe swe życie opatrującą chorych, sądziła w dobrej wierze, że inaczej być nie może. Nie myślała wcale, że sama w tęg chwili wraz z rodziną potrzebowała ratunku bardziej, niż wszyscy inni niedzara, gdyż była nieprzywykłą do nędzy i otoczoną wrogami, czyhającymi na dziedzictwo jej ojca. I księżna Elżbieta na wezwanie dziecka także, bezwiednie prawie, zatrzymała się, puściła rączkę Zosi, sięgając do koszyka z potrzebnymi dla chorych przyborami, który sam jeden tylko zatrzymała ze swęj książęcej własności. Widząc ją zabierającą się do opatrywania jego rany, Phil osłupiał, coś dziwnego musiało mu dziać się w ludzkiej przecież duszy, bo oczy zdawały się z głowy mu wychodzić, dziwnym pałając wyrazem, aż cofnął się przed wyciągniętą doń ręką księżnej z mokrą szmatką w palcach.

— To się nie da zrobić na takiem ziemie... — mruknął — i dzieci zmarzną tymczasem.

— To prawda, ale już przeszedłem całe Eisenach i nigdzie wpuścić mię nie chcą, nawet u drzwi szpitala mego stoi warta i broni nam wejścia... — smutno rzekła księżna.

— Tu mam znajomych... — powiedział Phil.

Pobiegł do domu, do którego dążył, dobijał się do drzwi i do okien, napróżno. Zapewne przy jasnem świetle księżyca widziano sieroty, stojące pośród ulicy. Strach przed surowemi rozkazami landgraфа Henryka wziął górę nad wszelkiemi innymi uczuciami. Karzeł spuścił głowę i nie patrząc na sieroty, powlókł się dalej, mrucając:

(d. c. n.)

Zadanie konkursowe Kazia.

Dawno już, bardzo dawno nie odzywałem się do czytelniczek i czytelników „Wieczorów”. Złożyły się na to różne

przyczyny, o których zadługo byłoby opowiadać. Już nawet miałem się usunąć od tak miłego dla mnie obowiązku współpracownika i sprawozdawcy naszego Pisma, lecz zmieniły się znów okoliczności i pozostałem jeszcze na stanowisku na czas jakiś. Ze rad jestem temu, upewniać nie potrzebuję nikogo, czy radzi będą czytelnicy... pytać nie śmiem... Aby się jednak w najprzyjemniejszy sposób przypomnieć ich pamięci, rozpoczynam korespondencyą od zadania konkursowego, gdyż wiem, że te zadania moje zawsze bardzo życzliwie były przyjmowane, nawet wówczas, gdy nie mogłem za nie żadnych nagród ofiarować. Idzie tylko o to, ażeby wymyślić coś nowego i dowcipnego; nie mało też sobie głowy nałamałem i w końcu podaję zadanie następujące:

Wyliczyć sobie w pamięci różnych ludzi znakomitych, wsławionych niepospolitemi czynami i rozważywszy dobrze ich zasługi, wybrać jedną postać, najsympatyczniejszą dla siebie. Określić treściwie, krótko, lecz jasno, dla czego ta postać jest dla nas miłą, co w niej uwielbiamy i naśladować pragniemy. Można brać przykłady z dawniejszych i nowszych czasów, rozumie się, że nie tylko sławni mężowie, lecz i kobiety, czémkolwiek wsławione w świecie, mogą być wybierane.

Odpowiedź należy podpisać imieniem i nazwiskiem, nie zapominając o dokładnym adresie, oprócz tego dodać pseudonym do druku. Najlepsze odpowiedzi będą wydrukowane, nagrody stanowią różne drobne przedmioty, które redakcja prześle według wskazanych adresów. Wypracowania te nadsyłać można do 15-go Listopada, nie wątpię, że będzie w czém wybierać.

Polecam się życzliwości czytelniczek i czytelników.
Serdeczny przyjaciel

Kazio.

ROZMAITOŚCI.

LAMIGŁÓWKA

ROZWIJAJĄCA UMYŚL SPOSOBEM ZABAWKI,
ulożona przez inżyniera

Pawła Jankowskiego.

ŁamigłóWka ta służy do nauki czytania polskiego sposobem zabawy w bardzo prędkim czasie, bez użycia elementarza. Najprzód dziecko powinno poznać głosy czyli samogłoski i dźwięki czyli spółgłoski według podziału kolorów. Następnie nauczyciel powinien układać z pionków sylaby np. *ba, be, bi* i t. d., dając uczniowi do przeczytania. Gdy się wprawi dobrze czytać jednosylabowe, można układać trudniejsze wyrazy np. *mama, tata* i t. d. Potem niech sam uczeń układa w podobny sposób a przez to nauczy się jednocześnie ortografii. Tymże sposobem można uczyć i czytania języka francuzkiego. Niech dziecko się nauczy na pamięć jak się wymawia: *oi, ai, ou, eu, cha* i t. d., potem układać dziecku i ono niech układa wyrazy np. *moi, roi, soi, toi, mais, nous, vous* i t. d. Oprócz nauki czytania, łamigłóWka ta nawet i dla starszych dzieci może służyć za zabawkę do odgadywania szarad, a zarazem wprawiać je w naukę geografii i historii. Układa się wyraz oznaczający miasto, kraj, rzekę, lub imiona sławnych ludzi i daje się to do odgadywania, lecz najprzód trzeba zmniejszać litery, nie obracając wszakże pionków drugą stroną, bo w takim razie niepodobna byłoby złożyć żadnego wyrazu.

Młodsze dzieci mogą z tychże pionków stawiać domki, budować koleje.

Nadmieniam, że gdzie tylko użyłem tej łamigłóWki do nauki czytania, wszędzie rodzice byli zadowoleni i cieszyli się z prędkich postępów w nauce, a co najwięcej, że się rozwija umysł dzieci.

S. J.

Powyzszą łamigłóWkę nabyć można w Redakcyach: „Kroniki Rodzinnej”, „Przyjaciela dzieci”, „Wieczorów Rodzinnych”, w księgarniach pp. Prószyńskiego i Gejsztor, oraz w kantorze drukarni F. Czerwińskiego, ulica Zielna Nr. 9.

Przypisek redakcyi. ŁamigłóWka ta kosztuje rs. 2. Możemy zaświadczyć, iż w rzeczy samej bardzo jest praktyczna i pożyteczna dla dziatwy.

Homonymy.

Czy to przed niejednym wiekiem,
Żyjąc na świecie człowiekiem;
Czy jak ptaszyna, wszystkim wszędzie znana,
Nawyklęm ja śpiewać ku czci mego Pana.

ŁamigłóWka głoskowa.

- | | | | | | |
|----|---|---|---|---|---|
| 1. | D | u | n | a | j |
| 2. | O | l | i | w | a |
| 3. | O | n | e | g | a |
| 4. | S | o | m | m | a |
| 5. | D | m | e | r | o |
| 6. | M | i | n | h | o |

1, 3, 4, 5, 7, rzeki w Europie.

2, klasztor pamiętny pokojem ze Szwedami za Jana Kazimierza.

Zastąpić kropki literami i utworzyć wyrazy, których środkowe litery utworzą nazwę rzeki, opiewanej przez wielką naszą wieszczka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go.

Szarady:

Na — po — le — on.

ŁamigłóWki geograficznój:

N	i	l						
R	o	d	a	n				
L	e	n	a	M	e	n		
S	e	r	e	t	A	m	u	r
Ni	g	e	r	A	ł	u	t	a

SPROSTOWANIE.

W Nrze 39 w łamigłóWce Krzyż z podstawą wydrukował mylnie *królewicz*, powinno być *kronikarz*. Opuszczono też od 23—25 rzeka w guberni kijowskiej

TREŚĆ: Wiatrak za miastem, albo jak to pozory myślą (z drzew.) — Prawdziwe bogactwo przez autorkę Reginki. — Odłaskówek wierszyk p. M—a. (z drzew.)—Dola Doly p. Wielisława. — Landgrafówna Zosia, powieść z czasów rycerskich p. M—a. (c. d.) — Zadanie konkursowe Kazia. — Rozmaitości. — ŁamigłóWki i rozwiązania. W Dodatku: Miłośniczka dziewczynka (z drzew.). — Szczerbaty Józio wierszyk. — Magdusia wierszyk. — Pończoszki włóczkowe p. Arę. — Prawda i bajeczka p. C. Falkowską. — Korespondencya Wieczorów Rodzinnych—ŁamigłóWka, rozwiązanie, Skrzynka do listów i ogłoszenia. Dodatek książkowy: Brat i siostra, powieść z niemieckiego.



Miłosierna dziewczynka.

Miłosierna dziewczynka.

Jagusia, córka młynarza, poszła do miasteczka po sprawunki. Wzięła z sobą koszyk, żeby miała w czém przynieść kupione rzeczy i butelkę na ocet. Że zaś w mieście miała przyjaciółkę Basię, matka pozwoliła jej wziąć w koszyk kilka jaj i śliczny biały serek, który Jagusia wraz z jajami podarowała przyjaciółce. Jagusia kupiła wszystko, co jej matka kazała, napełniła koszyk sprawunkami, a wstawiwszy starannie butelkę z octem, żeby się nie stłukła, zabawiła prawie pół dnia u Basi, która w zamian za ser i jaja dała jej śliczną książeczkę z obrazkami.

Jagusia miała ochotę dłużej jeszcze posiedzieć u Basi, lecz że już słońce miało się ku zachodowi, a do domu było dosyć daleko, Jagusia pożegnała się i zabrawszy koszyczek, poszła w swoją drogę.

Po zachodzie słońca wiatr się zerwał i zrobiło się chłodno, Jagusia, zawiązawszy perkalikową chusteczkę na głowie, biegła prędko, bo chciała być w domu nim się zciemni zupełnie.

Wtém usłyszała z daleka płacz, a przybliżywszy się ujrziała małego Abramka, syna pachciarza z tej samej co i ona wioski, który siedział na kamieniu i płakał, trzymając się za nogę. Zobaczywszy, że to Abramek tak krzyczy, przebiegła koło niego, nie zapytawszy, co mu się stało. Abramek bowiem często jej rozmaite psoty wyrządzał. Psa Brysia zam-

knął raz i nie wypuścił przez dwa dni, ulubioną kurę czubatą, zabił kamieniem, a nawet i ojcu zrobił raz wielką szkodę; na koło u młyna narzucał dużych kamieni, koło się zepsuło, ojciec przez trzy dni nie mógł mleć zboża, a na naprawę koła wydał dużo pieniędzy.

— Niechaj więc płacze szkaradny Abraham — myślała sobie Jagusia i poszła dalej, nie spojrzawszy nawet na niego. Lecz żal jej się zrobiło małego żydka i jakoś koło serca ją ścisnęło. — Może on się bardzo skaleczył? — myślała sobie. Zatrzymała się, chcąc wrócić do płaczącego chłopca, ale znów poszła dalej. — Co mi tam, to taki niegrzeczny, psotny żydziak — rzekła do siebie i znów poszła dalej.

Idąc przypominała sobie, że uczyła się w katechizmie, jak to każdy jest bliźnim naszym, choćby największy nieprzyjaciel; dla wszystkich Pan Bóg świat stworzył, wszystkim kazał się wspólnie miłować i dopomagać w nieszczęściu.

Obejrzała się więc za siebie, zciemniło się już prawie, a nawet chmury zaczęły się na niebie ukazywać, Jagusia od miasteczka niewiele się jeszcze oddaliła, bo widać było doskonale wieżę kościoła, a nawet kominy najwyższych domów; przemogło w niej jednak dobre serduszko, wróciła się do płaczącego wciąż Abramka i zapytała, co mu się stało?

Biedny chłopiec nie mógł nawet mówić z bólu, tylko pokazywał na nogę, z której krew ciekła obficie. Abramek bowiem stąpił na gwoźdź i przebił nim na wylot nogę, a nie mogąc sobie poradzić, usiadł i płakał, wołając pomocy.

Jagusia, zobaczywszy skaleczoną nogę, zapomniała wszelkiej urazy, jaką miała do Abramka, uklękła przed nim, zdję-

ła chusteczkę z głowy, wyjęła z koszyka butelkę z octem, a umoczywszy róg chustki, obmyła zakrwawioną nogę, a potem tąż samą chustką ranę owięzała. Gdy krew iść przestała, zaraz się Abramkowi lepiej zrobiło, posiedział jednak jeszcze chwilkę, a potem przy pomocy Jagusi poszedł powoli do domu.

Było już ciemno, gdy wrócili do wioski, Jagusia odprowadziła Abramka do domu, a ojciec jego i matka szczerze dziękowali miłośnierniej dziewczynce. Jagusia, uszczęśliwiona z dobrego uczynku, pobiegła do domu; matka była bardzo niespokojna, a ojciec chciał wyjechać po dziewczynkę wózkiem, obawiając się, czy się jęj co złego nie stało. Gdy im Jagusia opowiedziała, co było przyczyną, że tak późno wróciła, nie tylko nie gniewali się na nią, lecz uściskali serdecznie, mówiąc:

— Bądź zawsze dobrą i miłośnierną, nie pamiętaj nigdy, gdy ci kto co złego uczyni, sama czyni dobrze o ile możesz, a będziesz zawsze szczęśliwą.

Jan.

SZCZERBATY JÓZIO.

Zamiast tłuc dziadkiem orzech grzecznie, jak przystało, Józio gryzł go zębami, aż w buzi chrupało; Raz rozgryzłszy łupinę, krzyknął i drgnął cały, Bo gryząc orzech twardy, złamał ząbek biały. Odtąd Józia szczerbatym chłopczykiem nazwano, A przez upór zasłużył chłopczyk na to miano.

S.

MAGDUSIA.

Cztery śliwki Magdusia od Mamy dostała, Lecz to było za mało, chce więcej koniecznie, A zamiast prosić Mamy, aby jeszcze dała, Maże się i grymasi, i płacze niegrzecznie; Wspina się, chce dostać śliweczek z koszyka, Wyciąga rękę — krótka — może dłuższa druga. Chce uchwycić za śliwkę, śliwka się wymyka, A Magdusia upada na koszyk, jak długa... Śliwki sobą rozgniotła wszystkie na powidła, Sukienkę powalała, nasek sobie zbiła, Zrobiła się podobna cała do straszdyła, A to wszystko dla tego, że niegrzeczna była.

S.

Pończoszki włóczkowe.

— Proszę Mamy, niech mi Mama da te niepotrzebne kawałki włóczki na poduszczyk dla mojej lalki — mówiła dziesięcioletnia Marynia do pani Halickiej, zajętej kanwową robotą.

— Nie mogę, moje dziecko, bo te *niepotrzebne* kawałki przydadzą mi się jeszcze, a do wypchania twojej poduszczyki dobry będzie piasek lub otręby.

Na te słowa Marynia umilkła i chociaż miała wielką ochotę na włóczkę, nie śmiała jednak odpowiedzieć Mamie i słuchając jęj rady, poszła do kuchni po piasek.

— Ciekawa jestem jednak, na co się przydadzą takie kawałki — myślała sobie po drodze — każdy prawie innego koloru, wyszywać niemi już nie można, Mama pewno jest skąpa i dla tego mi ich nie dała — i upewniwszy się w tém przypuszczeniu, powróciła do swojej lalki.

W parę dni potem pani Halicka wyszła po sprawunki do miasta, a nie mając przy kim zostawić swęj córki, wzięła ją ze sobą. Marynia przechodziła przez długie i szerokie ulice, czysto wymiecione, gwarne od rozmów i turkotu powo-

zów, przyglądając się z przyjemnością wystawom sklepowym.

— Mój Boże — myślała sobie — żeby to wszystko było moje! tyle sukienek, lalek, zabawek, wystarczyłoby mi na całe życie. Jaka to szkoda, że Mama skąpa i tak niechętnie wydaje pieniądze.

I układając w głowie tysiączne projekta, nie uważała, że doszły obie z Matką do kościoła, gdzie przy otwartych drzwiach kłęcząc mały, bosy chłopczyzna i złożywszy pokornie ręczki, odmawiał pacierz. Na bladęj jego twarzy znać było zmęczenie, a w oczach świeciły dwie duże łzy.

— O, Mamo! patrz, jakie to ubogie dziecko — zawołała ze smutkiem Marynia, bo przypomniła sobie, że ona, która ma wszystko, czego tylko potrzeba, zazdrościła strojów i zabawek, gdy tymczasem takie biedne maleństwo niema się w co ubrać nawet.

— Widzę, moja Maryniu — odpowiedziała matka — to pewno sierota, tak się modli rzewnie — i mówiąc to, podeszła do chłopca z zapytaniem:

— Jak ty się nazywasz, moje dziecko i dla czego płaczesz?

Na te słowa mały Jasio podniósł zażawione powieki i rzekł cichutko:

— Bo mi zimno w nogi.

Słyszając to, pocziwa Marynia ujęła rękę Matki i pocałowałszy ją, rzekła nieśmiało:

— Ja mam stare buciki i pończochy, niech mi je Mama pozwoli darować temu chłopczykowi, dobrze?

— Dobrze, moje dziecko — rzekła pani Halicka, a zwracając się do Jasia, dodała: — Chodź, mały, za nami, to dostaniesz obuwie na twoje zmarznęte nóżki.

Gdy wrócili do domu, Marynia otworzyła szafkę i wyjąwszy z nięj wcale jeszcze porządne buciki i parę własną ręką wycerowanych pończoch, dała małemu, który z radości nie wiedział, jak jęj dziękować za ten podarek, a otrzymawszy jeszcze kawałek chleba z masłem, pobiegł uszczęśliwiony do domu, aby się tém wszystkim pochwalić. Marynia zaś wzięła jakąś robotkę i usiadła z nią przy oknie. Zamiast jednak pracować pilnie, jak zwykle, co chwila kładła szydełko na kolana obcierając oczy. Matka z początku tego nie widziała, bo zajęta była czytaniem, gdy jednak podniosła głowę z nad książki, aż się przestraszyła, co się stało jęj córce, która położywszy już na dobre robotę, zakryła twarz rękami i płakała po cichu, lecz szczerze.

— Co ci jest, moje dziecko? — zawołała pani Halicka.

— O, mnie nic nie jest — łkała dziewczynka — ja mam wszystko, za dużo nawet, bo na to nie zasłużyłam; ale te biedne bosc dzieci, co one robią, jak przyjdzie zima?

Widząc tak serdeczny żal, pani Halicka wzięła Marynię na kolana i póty ją pocieszała, póty prosiła, żeby się uspokoiła, aż posłuszne dziecko, nie chcąc matwić swęj Mamy, obtarło oczy i przestało płakać.

— Żal ci biednych dzieci — rzekła matka, chcąc dopomódz jęj dobrym chęciom — nieprawdaż? A wiesz, że gdybyś chciała, tobyś mogła zrobić jeszcze przed zimą ze dwie pary pończoszek i ofiarować je potrzebującym.

Maryni aż się oczy roześmiały.

— Ach, dobrze, Mamo, kup mi tylko włóczki.

— Kupić włóczki nie mogę, bo nie mam dosyć pieniędzy, wszak wiesz, że ledwie nam wystarcza na konieczne wydatki; ale mam na to doskonałą radę. Pamiętasz te kawałki włóczki, coś je chciała na wypchanie poduszczyki użyć? otóż widzisz, zbiorę wszystkie resztki, jakie tylko mam, powiążemy je mocno, nawiniemy na kłębek i będziesz miała włóczkę na pończoszki. Tylko uważaj, jak natrafisz na węzełek z końcami, obróć go do środka, a tym sposobem utworzy się z nich ciepły kożuszek.

— Ach! jak to dobrze — zawołała ucieszona Marynia — a ja Mamę posądzałam o skąpstwo — i zarzuciła ręce na szyję Matki, przepraszając za niesłuszne podejrzenie.

W dwa miesiące potem, przed samemi świętami Bożego Narodzenia, gdy mrozy już na dobre zapanowały, Marynia, w towarzystwie dwóch jeszcze przvjaciódek, które dopomagały

i włóczką i pracą w rozpoczętym dziele, poszła wraz z Matką do biura nędzy wyjątkowej, ażeby tam złożyć sześć par ciepłych, różnokolorowych pończoszek.

Gdy powróciły do domu, podeszła do Matki i ucałowała jej ręce, podziękowała za dobrą radę, mówiąc, że jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwą, jak dzisiaj. Pani Halicka uradowana postępkami córki, uściślała ją serdecznie i rzekła:

— Zapamiętaj, drogie dziecko, te trzy uwagi, które ci zrobię i stosuj się do nich, przez całe swe życie. Po pierwsze nie oskarżaj starszych, bo oni zawsze mają słuszość. Po drugie bądź oszczędna, bo zbierając ziarno do ziarnka, zbierze się miarkę i po trzecie: gdy zobaczysz ubogiego, to nie płacz nadaremnie, ale się staraj ulżyć jego nędzy.

A wy, małe czytelniczki, co macie ciepłe ubrania, wygodne łóżeczka, smaczne jedzenie, czy nie pomyślicie o tych głodnych, zmarznionych dzieciach? czy pozwolicie, aby przed waszymi oknami przechodziły bose małeństwa? O, zaradzcie choć w części ich niedoli! niech współczucie nad cierpiącymi obudzi wasze serduszka! wstępujcie co żywo w ślady Maryni Halickiej, bo zima już niedaleko.

Ara.

PRAWDA I BAJECZKA.

przez C. Falkowską.

W pewnym domu były małe dzieci; chociaż serduszka nieźle miały, jednak psoty przewyższały w nich dobre przymioty. Jeśli które z rodzeństwa upadło, lub po karze otrzymanej zapłakało, żal powstawał ogólny. Ale dzieci nie miały litości dla swych rodziców, bo marnowały ich pracę. Każdy stoliczek był pocięty nożykiem, powalany atramentem, porysowany, każda książeczka podarta, pobazgrana, bufeczki przy śniadaniu pokruszone, sukienki poplamione, nawet koszulki, majteczki porwały one zawsze, czepiając się po drzewach, szklanki, szyby tłukły bez miłosierdzia.

Otóż pewnego dnia stały się dziwy, wszystkie przedmioty pokrzywdzone przemówiły do dzieci, upominając się za krzywdy im wyrządzone.

Najpierw jeden stoliczek mały,
Do dzieci odezwał się śmiały,
Nie dał po sobie malować,
Ani nożykiem rysować.
Radziii posłuchać o swój przeszłości,
Żeby przybyło dzieciom wiadomości.

STOLICZEK.

Czy przyglądacie się, dzieci — odezwał się stoliczek — rosnącym w lesie drzewom? Jedne zacienione drzewami większemi, nie mające dostatecznego pokarmu z ziemi i światła, są wątłe, inne karłowate. Ja, jesion, miałem dosyć światła i ciepła od słońca, powietrze wciągałem sobie na pokarm szparkami listków i korzenie moje miały dostateczne pożywienie. Rosłem wysoko, prosty byłem i grubość moja powiększała się w miarę ubiegłego czasu. Z dumą poglądałem na małe drzewiny, pycha moja została jednak ukarana, kupił mnie stolarz i ściał, popiłował na deski, suszył długo, żeby meble nie pękały, a potem różne kształty mi nadali robotnicy, robiąc meble do ozdoby i wygody. Piłki, heble były czynne, chłopcy pracujący pot z czoła ocierali, praca nie ustawała, gładzili, politurowali, nie na to, żebyście stoliczki psuli. Brzydkie te rączki, co lubią robić szkodę, a tępym przykrość rodzicom, lub nauczycielom.

Jak dla buzi smakują ciasteczka,
Tak rozumowi dobra książeczka;
Tam się czerpią rady zdrowe,
Bogacą serce i głowę.
Nie drzyjcie książeczek, o to proszę,
Złe będzie, gdy przed światem ogłoszę.

Posłuchajcie o mojej przeszłości, żebyście nauczyły się, dzieci, pracę innych szanować. Byłam batystem, suknią, w którą ubierała się bogata pani, miejsce do schowania miałam w pięknej szafie. Mojej pani kłaniali się nisko, a ja byłam z tego dumna i pogardzałam perkalem, płótnem i rzeczami, nie mającymi wielkiej wartości.

Wszystko się kończy na tej ziemi i na mnie przyszedł czas, znikła pycha, a jak z pawia opadają zdobiące pióra, tak mnie starość rozdzieliła niteczki, darła się suknią w kawałki. Wrzucono mnie do kosza z gałganami i tam leżałam długo, rozpamiętując swiętą, niepowrotną przeszłość. Poznałam swoją nicość, gdy po rozmaitych przejściach, użyciu szmatek z sukni na rozmaite potrzeby, zostałam wyrzuconą ostatecznie na śmieczko z innymi gałganami, którymi w świętnych czasach pogardzałam; smutne położenie moje porównało nas i nastąpiła zgoda. Byłabym tam zginęła w kałuży błotnistej, ale przyszła gałganiarka, wyjęła haczykiem i do fabryki papieru dostałam się z innymi gałganami. Tam wymyto nas z błota, rozmięczono, i na masę utłuczono, poszliśmy pod prasę, a z tamtąd wychodziły arkusze papieru. Do stałam się wreszcie do drukarni. Zecerzy składali literki w formach, napuszczali farbą czarną i znowu kładli nas pod prasę. Przerzucano nas z rąk do rąk, dużo z nami pracy mieli robotnicy, chciałabym już była zostać papierem zadrukowanym w spokoju, ale jeszcze nie było końca mojej męczarni.

Intrlogator wziął nas do oprawy, składał arkusze, zszywał, pod prasę obcinał, i okładkami ozdabiał.

Szanujcie, dzieci, książeczki, nie wydzierajcie kartek, nie malujcie po literkach, czyż tak wielką pracę miałyby zniszczyć wasze rączki małe?

(d. c. n.)

Korespondencya Wieczorów Rodzinnych.

Kochane czytelniczki i czytelnicy Wieczorów. Pewnie zajęła was niedawno wydrukowana w Wieczorach Rodzinnych powiastka o „Mądrej Muszce i psotnej Psocie”. Znam ja te pieski bardzo dobrze, a nawet dostałam jednego szczeniaczka w podarunku, ale nie wiem, czy będzie tak mądry, jak jego mama. Często bardzo widuję te pieski. Muszka cieszy się bardzo, gdy nas zobaczy, skacze na kolana i liże ręce. Jeżeli kochani czytelnicy i czytelniczki życzą sobie, żebym poglaskała w ich imieniu Muszkę, z wielką chęcią ją pogłaskam.

8 letnia Trawka z nad Granicy

Łamigłówka zgłoskowa.

Z następujących zgłosek: bło -- e -- fał -- gram -- ko -- ki -- kraj -- no -- o -- o -- ra -- rek -- ri -- wa -- wto -- ułożyć wyrazy: 1. Waga. 2. Zjawisko meteorologiczne. 3. Jeden z dni w tygodniu. 4. Rzeka w Ameryce. 5. Imię męzkie. 6. Imię biblijne. 7. Tytuł czasopisma. Pierwsze i końcowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą imiona dwóch wojewodów, opiekunów małoletniego króla.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 38-go.

Łamigłówki kryształowej:

			E		
			E	w	a
		K	i	e	d
		E	w	e	r
		K	r	e	d
			O	s	a
				t	

Skrzynka do listów.

Stokrotka liścikiem swoim, pisany wśró d tak ciężkiego smutku, wzruszyła nas do głębi duszy. Nie przeczuwała kochana Stokrotka, czytając z takim rozrzwieniem o losach „Reginki”, że i ona wkrótce z woli Bożej podobnego dozna nieszczęścia i będzie musiała na wzór „Reginki”, zastąpić matkę młodszemu rodzeństwu. Oby Bóg wspierał dobrą Stokrotkę w tén zacném przedsięwzięciu. Życzliwe jój koleżanki, korespondentki „Wieczorów”, dowiedzą się ze smutkiem, iż Stokrotka, poważniejsze mając zajęcia, nie będzie mogła nadal współzawodniczyć z niemi w nadsyłaniu wypracowań i łamigłówek. Prosimy jednak serdecznie, aby nie zapominała o nas, kiedyniekiedy doniosła choć słówkiem o sobie i rodzeństwie i o współczuciu naszym nie wątpiła. Autorka „Reginki” dotrzy mała słowa Stokrotce i innym kochanym czytelnikom, nadesłała nam oczekiwaną przez nie z takim upragnieniem powiastkę, której druk w tym N-rze Pisma rozpoczynamy.

Mrówce serdecznie także dziękujemy za liścik. Powód długiego milczenia był nam znany, Wilczyśko, sąsiad Stokrotki i Mrówki donosił nam o straszném nieszczęściu którym Bóg dotknął kochane nasze dziewczątka. Niech Mróweczka pamięta o tém, że sierotki powinny być lepsze, rozsądniejsze od tych szczęśliwych dziewczątek, nad którymi czuwa ciągle tkliwe serce matki; tym sposobem jedynie przynieść mogą pociechę i żyjącemu ojcu i duszy Tój, która patrzy na nie z nieba.

Topolce z nad Kodemy przesyła pozdrowienie przyjaciółeczka jój Mrówka. Niech Topolka westchnie do Boga, aby biednej sierotce dał siłę do zniesienia nieszczęścia, którym podobało Mu się ją dotknąć.

Rezeda oddawna nie pisała do nas, mamy jednak wiadomości o niej, wiemy, że biedaczka ciężko chorowała, a teraz dzięki Bogu przychodzi do zdrowia, z czego się cieszymy niezmiernie. Wiemy także, iż lekarze zabronili Rezedzie wszelkiej nużącej pracy, nie namawiamy też, aby odpowiadała na zadania, ale króciutki liścik, donoszący o zdrowiu, nie znuży jój zbyt, a wielką przyjemność sprawi i nam i Kaziowi, który swojej stałej korespondentce ukłony przesyła.

Malina z Siedlec zagniewana jest na redakcyą, a wyzwać musimy, niestety! że nie bez powodu. W rzeczy samój, owa szarada, wydrukowana z rozwiązaniem w nawiasie zamiast pseudonimu autorki, wyglądała fatalnie i każdego mogła wyprowadzić z cierpliwości. Dla czego się to stało? Dla czego na jeden liścik Malina nie otrzymała odpowiedzi? Nie potrafimy już dziś tego wyjaśnić. To pewna, że złyj woli w tém nie było, bo Malina z Siedlec zaliczała się zawsze do najmiłszych naszych korespondentek. Przyczyną była prawdopodobnie choroba, a następnie wyjazd na kuracyą kierowniczką Pisma, która powróciwszy obecnie postara się przerwę w korespondencyi wynagrodzić. Czyżby Malina miała pozostać nieprzejednaną? Nie chcemy temu wierzyć. Gniewa się, ale się przegniewa, już nawet widocznie się przegniewała, skoro nadesłała szarady i zagadki, które na przeprosiny wydrukujemy niezadługo i bez omyłek. A więc zgoda, nieprawdaż?

Synogarliczce dziękujemy za wiadomość, że pomyślnie się załatwiła z egzaminami. Tak to zawsze bywa, kto pilnie pracuje w ciągu roku, swobodnie odpoczywa w czasie wakacyj. Rozwiązania trafne. Co do powiastki tłómaczonej z francuzkiego, nie przyda się do naszego Pisma, bo mamy dużo przygotowanych tłómaczeń do dodatku książkowego, w samém zaś Piśmie zamieszczamy głównie oryginalne utwory.

Nilce przesyła ukłony Synogarliczka. Ale dla czego to Nilka ani słówkiem się nie odezwie?

Bazyliśzek nadesłał wierszyk dość gładko tłómaczony, wydrukujemy go chętnie, sprostowawszy małe niedokładności. Ale zachwyił nas szczególnie Bazyliśzek prześliczną kaligrafią; w naszych czasach młodzież rzadko kiedy odznacza się podobną starannością.

Sikorka może być pewna, że redakcyą o swojej miłej ptaszynie nie zapomniła. Wierszyk był przeznaczony do druku, a więc musi gdzieś spoczywać wśró d innych rękopisów, dołożymy wszel-

kich starań, aby się odszukał. Może też kochana Sikorka zachowała kopią tego wierszyka i oszczędzając nam trudu, zechce ją nadesłać?

Lirence przesyła liścik następujący: „Kochana Lirenko! Pseudonym Twój podoba mi się bardzo. Napisz, jak Ci na imię, ile masz rodzeństwa, ile lat? Ja mam lat 13, na imię mi Berta, mam siostrę i brata.

Sikorka”.

Liś herbaciany dowiedział się już zapewne od mamy, która niedawno była w naszej redakcyi, dla czego tak późno odbiera odpowiedź na miły swój liścik. Wiemy, że zajęcia szkolne są najważniejszą rzeczą dla młodzieży, nie możemy też teraz spodziewać się takich długich i zajmujących listów, jak te, które dawniej, nietylko nam, lecz wszystkim czytelnikom naszego Pisma tyle sprawiły przyjemności. Prosimy jednak serdecznie, aby Listeczek herbaciany kiedyniekiedy przynajmniej choć słówkiem doniósł nam o sobie i rodzeństwie.

Kaziowi R. w Kaliszu winszujemy nagrody i cieszymy się bardzo, że przywykł już do rodzinnego kraju i przestał tęsknić za Chinami. Nie dziwimy się wcale, że życie szkolne podoba się pilnemu uczniowi, który odrazu po roku nauki bierze pierwszą nagrodę i postanawia co rok na nią zasługiwać, a w końcu złoty medal zdobyć. Serdecznie życzymy Kaziowi, aby go Bóg wspierał w tych pięknych zamiarach. Mamie zasłaamy ukłony, Mani całuska.

Słowikowi z nad Zbrucza z przyjemnością odpowiadamy, że życzenia jego są już spełnione; powieść, mająca stanowić dalszy ciąg „Reginki”, rozpoczyna się w N-rze niniejszym.

Słowikowi warszawskiemu zasła pozdrowienie Słowik z nad Zbrucza i zapytuje go, ile ma lat i co porabia? O sobie zaś donosi, że mieszka na Podolu i ma lat 9.

Trawkę z nad Granicy przepraszamy bardzo, że liścik jój tak późno drukujemy. Przyrzekamy solennie wszystkim korespondentom, iż odtąd Skrzynka do listów będzie utrzymywana w porządku. W lecie, kochane dzieci, wy miałycie wakacje, osoby, które dla Was pracują, muszą też choć raz na lat kilka wypocząć i siły wyczerpane pokrzepić. Bądźcież wyrozumiałe, jeśli was z tego powodu spotkał drobny jakiś zawód, zarzucił się liścik, lub omyłka wcisnęła się do łamigłówni.

Kogut z pod Lwowa pierwszy raz zdobył się na liścik i tak długo czekać musiał na odpowiedź. Ale lepiej późno jak nigdy. Najpierw upewniamy Kogucika, że może śmiało pisywać do redakcyi, bo wcale dobrze stawia literki, a nadewszystko wyraźnie i starannie pisze. Kazio jest zawsze współpracownikiem naszym, ale i Staś wyręczać go będzie niekiedy, skoro listy jego czytelnikom się podobają. Mamie donosimy, że p. Zuzanna Morawska, pisująca do „Wieczorów” jest w rzeczy samój autorką książeczki pod tytułem: „O szaręj godzinie”.

OGŁOSZENIE.

Pod tymże samym adresem i po tejże cenie co **Wieczory** prenumerować można **KRONIKĘ RODZINNĄ** pismo dla rodzin poświęcone literaturze, naukom i sprawom społecznym, które oprócz odpowiednich do tego założenia artykułów, zamieszcza niewydane dotąd pamiętniki i korespondencye znakomych ludzi, oryginalne podróże, powieści, komedye do przedstawienia w teatrach amatorskich, wiadomości polityczne i sprawy bieżące. Prenumeratorzy Kroniki otrzymać mogą po cenie zniżonej różne wartościowe dzieła i oleodruki wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, od roku zaś przyszłego 1886 otrzymają w dodatku bezpłatnym wydane nakładem redakcyi ciekawe **PAMIĘTNIKI MARYI WESSLÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ**, spisane ze wspomnień i archiwów jój rodziny.